



Wacław Żelazek

część V z VII

Sygnatura notacji: **N0076**
Data urodzenia: **16.09.1919 r.**
Data nagrania: **17.09.2007 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Rafał Pękała, Anna T. Pietraszak**
Czas nagrania: **cz. I: 58 min, cz. II: 59 min, cz. III: 60 min, cz.IV: 60 min,**
Format nagrania: **video** **cz.IV: 60 min, cz.V: 59 min,**
Język nagrania: **polski** **cz.VI: 60 min, cz.VII: 61 min**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Rafał Pękała: Wujku, wróćmy jeszcze do 2. Korpusu, dobrze? Mówił już wujek o tym, że były ćwiczenia bojowe, ale mam pytanie. Jak to wyglądało, jak wyglądał dzień w czasie szkolenia?

Wacław Żelazek: A, teraz mi się przypomniało te szkolenia były w Materze. Matera to stare miasteczko, dawniej opanowane jeszcze przez Mahometa w południowych Włoszech. Tam były szkolenia i później podchorążówka w Matera. I tam były stare miasto i nowe miasto. Więc nasze ćwiczenia polegały na tym, że my się na tym starym miasteczku takie pola otwarte były i tam ćwiczyliśmy najwięcej właśnie tę nowoczesną broń piaty. Piaty, te rury, co mówiłem. No i tam mieliśmy wypadek taki, że jeden żołnierz musiał trzymać rurę na ramieniu, a drugi strzelał. I na dole była przepaść, nie przepaść tylko głębia taka i później puste pole, dokąd się miało do celu gdzieś tam strzelać. Był taki wypadek, że pocisk wystrzelony został na lufie, na końcu lufy. Więc możecie sobie wyobrazić, jaki popłoch wśród całego oddziału powstał, bo obawialiśmy się, że on wybuchnie lada chwila. I jak tam na tej lufie wisiał ten pocisk, tak my wszyscy w popłochu w nogi uciekamy. No i dopiero... on nie wybuchł jednak, ale musieli przyjąć specjalnie saperzy, tarli gdzieś tam, drutami jakimiś wypchnęli i dopiero on wyleciał na dół tam w tę głębnię, w tą przepaść i tam wybuchł. Ale to było przeżycie nie z tej ziemi, bo gdyby wybuchł, to by tam cały oddział mógł zginąć od razu. A ćwiczenia odbywały się, jak wszystkie ćwiczenia na poligonach tutaj, gdzie się odbywają. To gonitwy, to przeszkody różne. Bo nas ćwiczyli raczej już na... jak się na te oddziały specjalne tych... zielone berety nosili.

Rafał Pękała: Komandosi?

Wacław Żelazek: O, na to. Żeby wszyscy byli przygotowani już do walk takich, jakby się przygotowali do walk przeciwko tym... obecnym, co się dzieją, zajęcie miast, walka przeciwko terrorystom, o. No więc, ćwiczenia były ciężkie. Wały różne się robiło, trzeba było przeskakiwać, przechodzić, jeden drugiego podciągał i na drugą stronę skakało się. No intensywne ćwiczenia, takie bojowe prawdziwe. Ale jak mówiłem, mnie, ja to musiałem przejść, bo inaczej to... jak bym nawet tej średniej lokaty tej podchorążówki nie dostał. Ale nie żałuję, bo to się przydało. Wtedy byłem młodym człowiekiem, no i to się przydało w życiu. Ruch zawsze mnie cieszył, lubiłem, a później jeszcze na zakończenie podchorążówki, pamiętam, to były takie zawody sportowe między różnymi podchorążymi, bo tam były też szkoły ćwiczebne podchorążówki takie różnych narodowości, różnych wojsk. Obok nas byli Hindusi. Później byli Nowozelandczycy i Australijczycy. Nie było Anglików. Bo po prawdzie mówiąc, to jak myśmy ze wszystkimi żołnierzami obcych nacji współzyl, z Anglikami nigdy. Jak tylko było gdzieś zebranie z Anglikami, to od razu przyszło do bójk. Oni się czuli wyższymi. Oni byli, o... Nie wiem, czy spotkacie, bardzo rzadko tak Amerykanina, jak i Anglika, żeby umiał języki obce. Oni swojego się trzymają, a innych to ich nie obchodzi. Oni się czują wyżsi. No, więc z nimi to sympatii nie było, ale za to Australijczycy, Hindusi, Nowozelandczycy, Kanadyjczycy, Amerykanie też, bo tam było dużo Polaków. Tam co dziesiąty, jeden na dziesięć na pewno był Polak i oficerowie, i żołnierze. Razem z nimi było jak najlepsze współzycie. Były takie zawody między tymi różnymi narodowościami. Zawody sportowe. No i były różne z gimnastyki. Mnie przypadło bieg na dziesięć tysięcy metrów. Oczywiście ja się do tych biegów specjalnie nie przygotowywałem, ale i tam tego wyniku z mojej strony to nie było. Ale miałem taki wypadek, na końcu były zawody piłki nożnej. I zdaje się, że Polacy, nasza podchorążówka grała z Australijkami. I miałem kolegę, bodajże Przebłocki nazywał się, o ile sobie tam przypominam. Wspaniały chłopak, który wyszedł właśnie nie ze mną raczej, ale z innej grupy, z tej organizacji Todt, uciekł od Niemców i przyłączył do Korpusu. No i powiedziałem, był bardzo inteligentny chłopak, bardzo solidny, a miał brata, który wyszedł z Rosji, Anders go wyprowadził, oficer i wystali go do dowództwa do Anglii, do 1. Korpusu. No i oni się, ci bracia, nie widzieli od 1939 roku. On tylko wiedział, że ten, okrężną drogą był w Anglii, a ten uciekł od Niemców i był we Włoszech, był na podchorążówce w 2. Korpusie. No i na tych zawodach ten chłopak, wspaniały kolega, główkował. Główką odbił piłkę i upadł. I upadł, no, myśmy wszyscy pobiegli, co się dzieje. Tymczasem się okazało, że upadł i wstał. I wstał, i jeszcze pogonił trochę. I znowu upadł. Znowu upadł, no to już było... Odnieśliśmy go do szatni, pamiętam, no i straszna śmierć. Skonał po prostu na naszych rękach. I konał w ten sposób, że się dusił, gryzł język, zęby i musieli mu pręt jakiś włożyć między, żeby nie pogryzł sobie języka. I skonał na naszych rękach. I sobie możecie wyobrazić, nasza cała podchorążówka, i gdzie jest pochowany na pierwszym cmentarzu polskim, w Casamassima, koło Bari. Pojechaliśmy tam całe... i przyjechał ten brat z Anglii, który... bo to już zawody były na zakończenie podchorążówki i on miał przyjechać, spotkać się. No i przyjechał na pogrzeb. No więc możecie sobie wyobrazić całe nasze wrażenie, całych naszych tych przyjaciół, cośmy znali tego chłopaka, wiedzieliśmy o tej gehennie, o tym spotkaniu tych braci i później widzimy tego brata na grobie. Oczywiście oddaliśmy mu wszystkie honory wojskowe, tam były strzelanina, nie wiadomo co, wspaniały pogrzeb miał. Ale ten cmentarzyk jest bardzo mały tam. Tam jest może najmniejszy cmentarz, Casamassima koło Bari i w ten sposób później było zakończenie podchorążówki, ale pod tym wrażeniem. Właściwie smutne. Chociaż przyjechał Anders, odbierał defiladę i tak dalej, ale to było bardzo krótko przed zakończeniem, i tak mieliśmy bardzo smutne wrażenie, że tak kolega w takich okolicznościach zginął. No i poza tym... ale jak ja miałem tę podchorążówkę, to miałem bardzo urywaną, bo mnie co chwilę wysyłali na egzaminy do Rzymu, a z Bari, z tej... nie z Bari, tylko z Matery, to jest sześćset i więcej kilometrów. A tam musiał mnie ktoś zawieźć, bo koleje to tam jeszcze nie funkcjonowały. A może

funkcjonowały, ale takim krokiem, że bym nigdzie nie dojechał. To musiał jechać jakiś wojskowy nasz wóz, takie były austyny amerykańskie. Szofer, ja i jakaś eskorta jeszcze jechała. No i zawozili mnie tylko na egzamin, na dzień, dwa i wracałem na podchorążówkę. Tak chyba z tych wyjazdów, to ja miałem, no, chyba z pięć razy tak. Tak że, bo jak mówię, Anders robił wszystko, żeby przygotować nową ekipę, zwłaszcza oficerów. Oficerów naszych, których brakowało najwięcej. Żołnierzy to są dalej ciągle nowi, ale czego brakowało, to oficerów. Tych, których wymordowali w Katyniu właśnie, tych brakowało. Więc o to się bardzo starał, no i starał się, kto był zdolny i studia rozpoczął, żeby jemu nie przerywać, więc do tego stopnia, że jak myśmy już później wyjeżdżali, to jak mówię, było 20 małżeństw włosko-polskich, którzy tam... tak im Anders zrobił, że ich wszyscy opuścili, a ci, co studiowali, to nadal zostali jeszcze, dopóki nie skończyli studiów. Później dopiero się rozjechali. A tam dostawali pomoc od Andersa, od dowództwa głównego z Anglii, że mogli dalej studiować. Ja tego nie zrobiłem, dlatego, że ja miałem rodzinę i już miałem... no i właściwie więcej niż ja, to moja rodzina, moja żona chciała jechać, opuściła Włochy, jak mówię, wtedy były bardzo krytyczne, to był i głód, i nieporządek, i zaczęli się komuniści już panoszyć. Więc myśmy się zdecydowali, ja studia we Włoszech trzy lata zrobiłem i pojechałem do Argentyny, a tam mogłem studiować, ale trzeba było po prostu się zaprzęć do pracy i rodziny pilnować. Tak że, ale to trzeba Andersowi przyznać, tak klasy i ekipę oficerską. Jak te całe osiedla tych rodzin polskich, które dociągały do Korpusu, to robili całe miasteczka i to myśmy żołnierzy, z żołdu się odciągało, pomagało z naszych nędznych racji, oddawało się na te osiedla, pomagało się ludziom. No i w ten sposób Anders, według mnie, oprócz tego, że był kochany i szanowany przez żołnierzy, ale on dla Polski to będzie kiedyś chyba jednym z największych bohaterów.

Rafał Pękała: Wujku, ćwiczenia z bronią, ale podczas podchorążówki również była inna służba. Jak wyglądała?

Wacław Żelazek: No, ja na przykład, ponieważ, bo mówię, znałem dobrze ten język włoski, a tam z moich kolegów nikt nie znał właściwie języka. Ja ten język znałem, bo jak mówię, już z gimnazjum, gdzie się uczyłem łaciny, a ten język mi przyszedł sam, ja się go nie uczyłem, to spontanicznie go dostałem. Ale Polacy, to nie jest tak łatwo się nauczyć języka w przejeździe przez kraj. A w czasie boju i wojny to nie było czasu myśleć o języku, nauki języka. No więc mnie wykorzystywali przede wszystkim... o, trzeba było jakieś wiktuały. Trzeba jak coś zdobywać oprócz tych dacji, co nam udzielali Anglicy, to się zdobywało coś specjalnego tam od Włochów. Więc ja znając języki, to i jeździłem po tych włoskich tam, o, na przykład olej, prawdziwą oliwę. O, to myśmy jeździli do młynów włoskich, prywatnie kupowali, beczki całe oliwy i się przewoziło do kuchni naszej. No i inne wiktuały tak samo. A ponieważ ja już byłem wtedy tym pół oficerem, mnie przeznaczili też jako dyżurny, podchorąży do kuchni. Ja dozorowałem nad kuchnią kucharzami naszymi Polakami, którzy odżywiali cały oddział. No więc i tam się nauczyłem trochę kucharstwa, bo się przyglądałem tym wszystkim przyprawom, trochę później patrzyłem, jak Włosi to robią, no i do dzisiaj ja sobie sam kucharzę i sobie daję radę, i zawsze w życiu sobie dawałem radę. Ale to dzięki najwięcej temu oficerowi dyżurnemu przy kucharzach, tam się nauczyłem najwięcej. No i tak ta podchorążówka przeszła. Przeszła do końca po defiladach, koniec i powrót do Włoch, i tam zaraz do Rzymu. I w Rzymie chyba 2-3 miesiące po powrocie z podchorążówki brałem ślub. No i tam byli moi koledzy z podchorążówki, moi przyjaciele z tej komendy Placu Rzymskiego na ślubie, moi koledzy z czasów ministranckich, księża, kapelani dawali mi ślub. Brakowało tylko arcybiskupa Gawliny. Ale za jego pozwoleniem, bo ja nie mogłem wziąć ślubu, gdyby główny kapelan, którym był Gawlina wtedy, nie dał zezwolenia. Musiał dać zezwolenie i ja musiałem mieć, że tak powiem, że to była Włoszka, nie Polka, tylko Włoszka, więc... ale

to wszystko uzyskałem jak najbardziej, bo wszystko polegało na tym, badali czy ta Włoszka, czy ta żona moja jest katoliczką przede wszystkim. No, a moja żona to jest więcej katoliczką niż ja. Dlatego nie było żadnego kłopotu. Jak mówię, miała wujka, który był opatem na Monte Cassino, a każdy opat to jest ranga biskupia. On jest tak jak biskup. Każdy opat, każde opactwo benedyktyńskie ma swojego opata, a on ma jurysdykcję nad tym opactwem w randze biskupa. Tak że dowiedzieli się, że wujek jest opatem na Monte Cassino, więc żadnej trudności nie było. Tak że my w ten sposób pobrali się, no i później... w rok urodziła się córeczka. Moja córeczka, akurat jak już wyjeżdżali, moja córka skończyła roczek życia, jak ja wylądowałem w Argentynie, jak wylądowaliśmy w Argentynie, to miała roczek życia. To znaczy, ja ten cały rok byłem w Komendzie Placu w Rzymie i tam pracowałem, to odstawiałem tę pracę, opiekując się Polakami, którzy przyjeżdżali do Rzymu, którzy chcieli zwiedzać Rzym, ja o lokum się starałem, o opatrunek i tak dalej.

Rafał Pękała: W którym kościele w Rzymie wujek brał ślub?

Wacław Żelazek: W Rzymie nawet kościół wam powiem, przepiękny, w samym centrum Rzymu, Santa Maria in Via. To jest Święta Matka Boska na Ulicy. Bo jest piękny kościółek, tam jest cudowna jakaś statua Matki Boskiej, jak to jest cudowna podobno, bo tu wszystko trzeba mieć wiarę, studzienka taka, jakaś cudowna woda wytryska i znajduje się, myśmy mieszkali w hotelu, który się nazywa Corso. Na tej głównej ulicy, tam, gdzie moja żona miała ten sklepik, to jest Via del Corso. A za... kończy się ta Via la Piazza, Piazza Colonna. To jest prawie że główny, nie główny, bo główny to jest Piazza tego Mussoliniego tam, Piazza Venecia. A Piazza Colonna to jest centralna taka, plac centralny w Rzymie i na tym placu jest pałac, w centrum placu, pałac, gdzie zabrali Anglicy, tam zrobili te NAAFI. NAAFI to były takie składnice, gdzie można było wszystko kupić, tylko wojskowi, a i tam między innymi miałem takie, że prowadzili tą Amerykanie oczywiście, tak? Bo tam można było dostać papierosy i whisky, wszystko po cenach minimalnych, tylko dla wojskowych. A prowadziła to taka murzynka, Amerykanka. No, ja tam chodziłem z kolegami, a nie wiem, czy ta murzynka miała sympatię do mnie. Wszystko, co ja chciałem, to ona tam trzymała dla mnie pod ladą po prostu. Specjalnie trzymała. No i się koledzy śmiali, że pewnie się zakochała ta murzynka. No, ale fakt jest, że poza tym NAAFI, tym pałacem, gdzie była ta składnica zajęta zresztą przez Amerykanów, po drugiej stronie jest największa galeria rzymska. Po drugiej stronie tego kościółka mojego i naszego hotelu. Mówię, to jest centralne miejsce w Rzymie. No, i ta galeria wychodzi na 4-5 ulic. Takie o. Olbrzymia galeria. No i ten kościółek przy tym. No więc naprawdę to będę pamiętał też i tam zawsze jak jestem w Rzymie, to idę, ten kościółek odwiedzam. Bo jest naprawdę przepiękny. I przepiękne miejsce przede wszystkim. A później, ponieważ myśmy mieli hotel bliźutko. Nasz hotel, gdzie wtedy my i oficerowie, podchorąży i tak dalej mieszkali, to był hotel pięciopiętrowy, ale mały hotelik. Nie tam jakiś pięciogwiazdkowy, jakiś luksus. Zwykły hotelik taki dla turystów. A myśmy zajmowali cały hotel. Tylko ten portier był Włochem, a tak to wszyscy byli Polacy. Myśmy byli na czwartym piętrze, a na trzecim piętrze byli nasi, jak się nazywa oddział, który podsłuchy radiowe robi, nie wywiad, tylko taki kulturalny, który prowadzili same polscy żydki, bardzo porządni ludzie. Bardzo, koledzy niesamowici, ale Żydzi. Bo tam potrzeba języki znać i obrotnie bardzo tak. Nawet różne wywiady z gazet i tak dalej, co się tam pisało o Polsce, o Polakach, ale bardzo porządni ludzie. Oni mieszkali piętro niżej, ale kolegowaliśmy się zawsze niesamowicie. No i tak się rzymskie, aż przyszedł czas, że trzeba było jednak te Włochy zostawić. A cała demobilizacja odbywała się w Forli. Bo to jest między Bolonią, a tam było centrum demobilizacyjne. Tam właśnie w tym Forli, jak pojechałem podpisywać demobilizację, to tam widziałem tych wiarusów,

mówię, tych Polaków, starszych gości, tych, którzy wyszli i przyszli z Rosji, i tam musieli podpisywać demobilizację i oni tam widziałem, jak popłakiwał sobie, mówi: „Panie, panie podchorąży, gdzie ja mam wracać, gdzie ja mam jechać, do Rosji z powrotem? Ja już byłem w Rosji, ja już byłem na Syberii. A co do domu, ja go nie mam. Całą tę część wschodnią zabrali ruski, czy tam Ukraińcy, czy... No, na razie jadę do Anglii”. Później się rozproszyli po świecie, niektórzy, bardzo mała ilość z 2. Korpusu wróciła do Polski. Wróciła, to ja jeszcze pamiętam, robiliśmy takie układy, ci, którzy wracali, robili takie kody między nami. Jak zajędziecie w taki i taki sposób, dajcie nam znać, co się dzieje. Co, jakie tam... co z wami robią. Niektórzy odpowiedzieli. Niektórzy, że tam się urządzili jako tako, ale największa część to nigdy nie odpowiedziała. Nie wiadomo, co się z nimi stało. Urwał się kontakt. Tych, co wrócili do Polski. A my w Forli, po tym podpisaniu jeszcze wróciłem do Rzymu, tam załadowałem całą rodzinę i musiałem pojechać do Genui, i tam czekał statek angielski. Ten, który przewoził wojska z Ameryki do Europy, wojskowy, pamiętam, że były te niszce, mężczyźni osobno, kobiety osobno, kobiety z dziećmi osobno. I jeszcze do dzisiaj pamiętam, straszne jedzenie angielskie. Do dzisiaj pamiętam takie ryby, nam dawały śledzie, śledzie były strasznie przyprawione do niczego. Moja żona, Włoszka, oni mają dobry paladar, dobrze, żeby zabrała, pamiętam, taki ser. Provolone się nazywał, włoski. No i ten ser skończyła chyba, a nic nie jadła z tego jedzenia angielskiego. A ja, no, musiałem. Musiałem, ale co to było, to były karafki wina. Wina było pod dostatkiem. To polewałem tym winkiem, no i tam te śledzie i te... ale bardzo nie-dobre jedzenie. Czego nie można powiedzieć o Włochach. Jak później jeździłem dwa razy jeszcze okrętami. Raz jechałem okrętem argentyńskim. Ten był możliwy. A najlepszy to był mój ostatni powrót z Włoch do Argentyny, włoski statek. To był luksus. Luksus, mówię wam, coś pięknego. Wakacje można spędzać na takim statku. Major, rangi major, później był kapitan, to byli moi przełożeni bezpośredni. Tam w Komendzie Placu w Rzymie.

Rafał Pękała: A jak się nazywali?

Wacław Żelazek: Oj, to ja nie pamiętam. O, kapitan nazywał się Teichman. Ale majora już nie pamiętam. Oni nam powiedzieli co rano, myśmy mieszkali w hotelu osobno zupełnie, a rano musieli być na placówce, w tej Komendzie Placu i tam raport się zdawało z tego, co się w ciągu dnia widziało, robiło i była odprawa, i dalej się szło na robotę. Czyli zabierała żandarmeria polska i jeździliśmy, bo było coś do załatwienia między Włochami, jakieś tam zadarty, czy jakieś z Polakami, bo były i tak wypadki, albo też się chodziło tam na różne zwiady, tam wyznaczali iść pilnować, bo tam dowództwo będzie, bo tam trzeba zobaczyć, co się dzieje między komunistami Włochami i faszystami, oj, bo to wszystko się zbierało i taki raport później na drugi dzień rano się dawało. Ale właściwie to myśmy byli raz w mundurach, a innym razem tośmy chodzili w cywilu. I przy tym chodziliśmy i uczęszczaliśmy na uniwersytet. Na studia. Bo na to, to było, musiał być zawsze czas i na to były pozwolenia, żeby specjalne legitymacje mieliśmy, którą mam do dzisiaj. Pozwolenie obracania się po Rzymie swobodnie, czy w cywilu, czy po wojskowemu. Od komendy placu dostawaliśmy takie zezwolenia i w ten sposób, no, było możliwie. Myśmy mieli specjalne, że tak powiem, jadalnie oficerskie, które tam, nie było takie jak tam dla tych turystów, do tych żołnierzy, którzy przyjeżdżali zwiedzać, nie? Mieliśmy zawsze coś specjalnego, a oprócz tego między nami później sobie urządzaliśmy jeszcze prywatki takie. A do włoskich restauracji się chodziło, o, te kanapki, które dzisiaj robiliśmy, a tam u Włochów nauczyliśmy się robić. A przy tym ten wielki przysmak włoski, to były te nie lumaki, tylko te takie z rogami. Jak?

Rafał Pękała: Ośmiornice?

Wacław Żelazek: Nie, nie.

Rafał Pękała: Rozgwiadzy?

Wacław Żelazek: Nie, też nie.

Rafał Pękała: Kraby?

Wacław Żelazek: Kraby. Kraby, nadziewane, mówię, to jest specjalność włoska. Myśmy mieli taką restauracyjkę, gdzie już specjalnie te kraby na nas czekały. No, a przy tym się popijało, wesoło było, było morowe towarzystwo. I wieczorkiem się wracało, i już do naszych pieleszy, bo ta restauracyjka ta nasza prywatna, włoska, to było wszystko w pobliżu. Blisko naszego hotelu, bo to centrum Rzymu, to tam się wszystko gnieździło i tam można było znaleźć wszystko. Ta specjalność, no pizza włoska, to myśmy mieli inną restauracyjkę włoską też. To już specjalny nasz stolik czekał i pizza specjalna na życzenie była tylko dla nas.

Rafał Pękała: A jaką wujek najbardziej lubił?

Wacław Żelazek: Pizza con mozzarella. Mozzarella to jest taki ser, bawoli ser, z mleka bawolego, który się tak ciągnie na tej pizzy, jak oni włożą surowy ten ser i to z [niezrozumiałe, 00:29:16], bo to idzie od razu, momentalnie do tego pieca gorącego, jakieś siedem, niecałe osiem minut, wyciąga i ten ser wtedy się rozlewa na tej pizzy. I tak się ciągnie, dopóki jest ciepły, gorący. No przy tym te wszystkie inne przyprawy, a i na to rybka. Rybka, która się nazywa, takie małe, nie sardynki, tylko specjalne, no, teraz sobie nie przypominam, specjalne rybki takie. Bardzo mają takie specyficzny smaczek i na ten serek jeszcze ta rybka. Więc to, taką pizzę jak mówię, to myśmy tam zachodzili z kolegami, bo to nigdzie się nie chodziło samemu. Z kolegami, już nasz stolik od razu musiał być dla nas zarezerwowany i taką całą pizzę na dwóch czy na trzech, ilu nas tam było, cała pizza od razu była gotowa już. Nie trzeba było żądać i winkiem się popijało.

Rafał Pękała: Wróć jeszcze do podchorążówki na chwilę. Mówił wujek o tym, że razem z wujkiem, obok kursu polskiego, był kurs Hindusów, byli to zapewne Gurkhowie. Takie górskie oddziały, ci górale hinduscy, prawda?

Wacław Żelazek: Tak

Rafał Pękała: W ten sposób. Później wujek był już również w Indiach. Miał kontakt z Hindusami po, niedawno zresztą. Natomiast mam pytanie, jak wyglądały wasze kontakty wtedy? Czy nawiązywaliście, czy coś wspólnie robiliście? Gurkhowie to były oddziały specjalne, bardzo dobrze żołnierze, wręcz komandosi właśnie, czy mieliście wspólnie ćwiczenia?

Anna T. Pietraszak: Gurkhowie byli z Nepalu.

Wacław Żelazek: Gdzie byli?

Anna T. Pietraszak: Z Nepalu.

Wacław Żelazek: Nepalu, ale Gurkhowie są tam w tej północnej części Indii, tam mają właściwą swoją siedzibę. Ci, którzy byli na wojnie, to są hinduscy Gurkhowie na pewno. Pamiętam zawsze, że w czasie defilady to nosili kozę. Pierwsza szła jako honorowa koza w tym oddziale. A później na podchorążówce to przypominam sobie, może, nie wiem, czy to byli Hindusi. Raczej to byli Nowozelandczycy. Obok ten obóz, czy to Zelandczycy albo Australijczycy. Mieli też ćwiczenia spadochronowe. I pamiętam, my na naszych ćwiczeniach byliśmy i oglądaliśmy w pewnym momencie, że wyskakuje z tego samolociku spadochroniarz i spadochron się nie otwiera. I leci na dół, i oczywiście się zabił. My biegiem, bo to było na naszych oczach niedaleko. No, może jakieś 200 metrów od nas, 300 może najwyżej. Biegniemy wszyscy na przefaj, do niego, co się tam dzieje. Mówię, widok, jaki ja zobaczyłem, to nie zapomnę. Mówię, tutaj te kości to wyszły mu z drugiej strony na ramiona, temu biednemu spadochroniarzowi. Jak on upadł i już pewnie nie był, to nie wiem, jakoś tam bokiem, czy na brzuch tylko, upadł prosto tak, jak leciał, nogami i te nogi mu się wbiły, i wyszły tu na plecach kolana. Coś strasznego. Oczywiście trudno, żałoba dla całych podchorążówek wszystkich, no, ale nieszczęścia pracy. A później wiecie, gdzie spotykałem Gurhki? Jak jechałem na tych Hindusów, jak jeździłem na te nasze uroczystości na Monte Cassino. Zawsze byli Gurkhowie, zawsze. Ci Hindusi tam byli w tych swoich ozdobnych szatach, nakryciem głowy i tak dalej. Oni byli zawsze obecni. Oni nam towarzyszyli zawsze. No i taki miałem przypadek, że jak byłem, bodajże, to był rok 1984, jak był Wałęsa. Kiedy Wałęsa był przy rządzie?

Rafał Pękała: Od dziewięćdziesiątego...

Wacław Żelazek: A to chyba w 1990. Bo to był, pamiętam, za Wałęsy dlatego go dobrze pamiętam. Ja, myśmy z całą wycieczką w Rzymie wylądowaliśmy. W Rzymie zbieraliśmy i ciężarówkami, które zorganizowało Stowarzyszenie Kombatantów Polskich, mamy jechać na Monte Cassino. Jedziemy, była straszna ulewa przez całą drogę. Dojeżdżamy, wiecie, jest miasto, Monte Cassino na dole, później jest droga kręta do góry do klasztoru. My dojeżdżamy do tej drogi już, która jedzie do klasztoru i tam nas zatrzymuje Żandarmeria Polska. Bo w tym dniu Włosi oddawali komendę nad całym Cassino, tam nad cmentarzami, Polakom. No i zatrzymają nas. A myśmy wieźli na tej ciężarówce jednego inwalidę polskiego bez nogi. W ogóle miał uciętą nogę, tylko kikut mu wisi o taki, i gdzieś tam zginął w czasie wojny i nie wiem gdzie. No, on jechał z nami. No i taki tam jeden starszy prowadził naszą gromadę. Jedzie do Żandarmerii, mówi: „Ile my będziemy czekać?”. A musimy czekać, bo musi przejechać świta pana prezydenta Wałęsy. Przejdzie świta, to pojedziecie. Proszę mi wierzyć, że my na tej ulewie tam z tym biednym czekaliśmy przeszło godzinę. Po godzinie świta Wałęsy wreszcie pojechała, to nas puścili. I jak nas puścili, ciągle w tej ulewie, jak dojechaliśmy do góry, już tam się zaczęła cała uroczystość i brama cmentarza była zamknięta. Bo myśmy, tam było tyle wtedy pojazdów z Polski, tam była jakaś, pamiętacie, wtedy taka wycieczka, co tam pojechali, nie mogli, nie płacili, nie mieli, była cała chryja, opisywali później, to myśmy musieli tym moim autobusem spóźnieni, to się musieli jechać jakieś półtora kilometra za cmentarz, powyżej cmentarza, na taką polanę, gdzie tamte wszystkie omnibusy, autobusy polskie stały już. I oni

w deszczu, nie w deszczu, ale jakoś doszli na cmentarz, a my przyjechaliśmy ostatni, bo nas tam godzinę trzymali na dole, no i jak żeśmy doszli, cmentarza brama była zamknięta. I nas... a la! deszcz ciągle. Jedyne, co patrzę, stoją wtedy Hindusi. I Hindusi zaczęli protestować. No i wreszcie Hindusom otworzyli, ale nam nie. Polacy zawsze, wtedy, jak mówię, pilnowali. No więc wtedy spotkaliśmy tych Hindusów. Mówię, mieli szczęście, uhonorowali Hindusów, a nie nas. I wtedy było strasznie, bo jak skończyła się uroczystość w deszczu, mówię, takiej ulewy to ja nie widziałem. Zmoczeni, znowu musieliśmy piechotą wracać do tych autobusów. Te pierwsze autobusy wyjechały. Później zrobiła się taka kałuża, to roztopiło się, bo to ciągle padało. Te autobusy rozjeżdżyły tę łąkę, tę polanę i myśmy wyjechać nie mogli. To ostatnie chyba 3-4 autobusy nie mogły wyjechać. I znowu czekamy, bo ja wiem, chyba ze cztery godziny, aż z miasta, z Cassino przyjechała taka ciężarówka, taki buldożer. No i nas wyciągnął. Jak nas wyciągnął na drogę już bitą jakąś tam, to później już zjeżdżamy. No i jedziemy na wariata, bo myśmy mieli już zakupiony cały ten przejazd tam i z powrotem, i mieliśmy zakupione też przyjęcie tam, które miało być na dole w restauracji, tam miał być cały rząd, wszyscy ci kombatanci i tak dalej. To wszystko myśmy już mieli zapłacone. Oczywiście zajeżdżamy po tych naszych tarapatach, już tam nikogo nie było. I mówię wam, zmoczony, głodny wróciłem do domu, do Rzymu. A że jak mówię, mam rodzinę w Rzymie, raz w Rzymie odłączyłem się od całej tej wycieczki, bo oni pojechali swoją drogą. Tam mieli jakieś siedziby, a ja do domu, do rodziny. Ale to mam, no, brzydką pamiątkę. Mam taki wiersz. Może mam jutro rano, to wam przeczytam, właśnie z tej uroczystości, w której to napisał chyba taki w radio z Wrocławia, taki gość napisał ten wiersz, który ja później kolportowałem zagranicę i do dzisiaj go mam, i jak coś się spotykam, to czytam im, młodzieży, żeby widzieli. Co, mam już kończyć?

Rafał Pękała: Nie, nie, nie, w żadnym wypadku.

Wacław Żelazek: Tak, no i dobrze, i tak to było z tym Monte Cassino i z tymi wycieczkami. Były dobre, były piękne wspomnienia. No, wtedy o co, to mam tu zdjęcie, co się spotkałem jeszcze przed śmiercią z Andersem, z tymi wszystkimi, o, z Gawliną, i jeszcze środkiem sobie idę i gawędzimy, opowiadamy. On się wypytywał, gdzie jesteśmy teraz. No, ja mówię w Argentynie, mu opowiadam. No, że tam się dobrze urządzili Polacy i takie, i później on zmarł, zmarł Anders, jak mówię, w 1972 roku bodajże. Tak, no i... Ale jego i Andersa pamiątka pozostanie wśród nas nie tylko, kiedyś będzie zapisana w historii Polski, na pewno wśród naszych wielkich bohaterów, bo on naprawdę zrobił dla Polski wielką rzecz. I będzie naprawdę w poczcie bohaterów narodowych.

Rafał Pękała: Wujku, wspomina wujek o spotkaniu z arcybiskupem Gawliną. Ile tych spotkań było? Czy w czasie, kiedy wujek służył w Korpusie, również, gdy spotykał...

Wacław Żelazek: Z samym Gawliną spotkań, to tak dużo nie było, ale kapelanem, kapelan był w każdym oddziale. Kapelan, to znaczy się ksiądz jakiś. Zwłaszcza wśród Zmartwychwstańców, zakonników, bo tych w Rzymie najwięcej, bo z Polski to tam mało, ale wszyscy ci zakonnicy, ci klerycy, jak Marian, którzy byli poza granicami i ścigali do Korpusu, każdy oddział miał swojego kapelana. Tam nie było, u nas to jest może tutaj w Polsce teraz nie do pomyslenia, wy wiecie, rano jak się odbywała taka pobudka żołnierska, „Kiedy ranne wstają zorze”. Śpiew, najpierw była modlitwa. Każdy dzień, rano i wieczorem. Zawsze było, modlitwą się zaczynało. Kapelan, oficerowie wszyscy na baczność, modlitwa. No i tego też pilnował przede wszystkim Anders. Anders powiedział, że bez Boga nic się nie da rady i on,

bo on nie był katolikiem, swoją drogą, był protestantem, ale później na końcu przeszedł na katolicyzm, niesamowite to było, wielki przyjaciel właśnie arcybiskupa Gawlinę, no i wszystkich tych ściągnął. Ja widziałem na moje oczy, moich kolegów. Kolegów, jeszcze dawnych ministrantów. Oni wszyscy byli kapelanami wojskowymi. Niektórzy tylko skończyli studia, od razu do oddziału, do wojska na kapelana. Tak że pod tym względem... Ale z samym Gawliną, był on chyba raz na przesłuchaniu przed ślubem, tam, jak mi dawał to pozwolenie, zezwolenie. Widziałem go wtedy tak przejściowo na Monte Cassino. Wtedy, jak żeśmy tam na tym zdjęciu, co jestem, a tak specjalnie, to kontaktu nie miałem. Ale to jest drugi wielki patriota i Polak. Gawlina, który prowadził tych żołnierzy, z Rosji wyprowadził i siedł z nimi do końca. Dlatego mu się słusznie należy być pochowanym tam na Monte Cassino, wśród żołnierzy, przy Andersie.

Rafał Pękała: Wujku, ale w tym momencie jest tak, że wujek służył bezpośrednio w 2. Korpusie, ale „dwójce” czyli w wywiadzie tegoż Korpusu i w związku z tym były obchodzone święta narodowe. Jak wyglądał i tutaj zapytam konkretnie, jak wujek pamięta 3 Maja, jak wujek pamięta 15 sierpnia 1944 roku?

Wacław Żelazek: W 1944 roku to ja już byłem w Rzymie tam. to sobie możecie wyobrazić, taka ranna zbiórka już i biegiem wszystkim, uszeregowanie najpierw do kościoła. Ze śpiewem ulicami Rzymu. Cały oddział nasz tam z tej Komendy Placu, jak mówię, to był wielki pałac, tam mogło być jakieś 50 ludzi, którzy obsługiwali różne służby. Do kościoła najpierw ze sztandarem, śpiew polski w całym Rzymie było słychać. A Włosi tylko parzyli, bo to była dla nich rzecz niesłychana, przecież tam wszystkie wojska przechodziły przez ten Rzym. No, gdzie tam w innej wojska, gdzie kto do kościoła by szedł szeregiem ze sztandarem, z muzyką. Więc tak się zaczynało, a później były jakieś tam przyjęcie w restauracjach, specjalny obiad. Wiwaty i był Cin&Cin, popijało się winkiem, czy tam wódeczką, czymkolwiek i się świętowało. Tak jak to się robiło w wolnej Polsce przedwojennej. Capstrzyki pamiętacie? No, nie pamiętacie, były takie capstrzyki przy każdym, już od późna w nocy zaczynało się, późnym wieczorem, dzień poprzedni przed świętem narodowym, później całe święto defilady, świętowało się i tak mi robili w Korpusie i to cały czas, gdziekolwiek byśmy nie byli, to te święta narodowe zawsze były na pierwszym planie. Zawsze, zaczynając od kościoła. Później jakieś akademie, jakieś w teatrach, była czołówka przecież przy 2. Korpusie wspinała czołówka ta artystyczna. Jakie tam akademie były, panowie. Jaki tam patriotyzm się uprawiało, to nie macie pojęcia. No i myśmy tę Polskę nieśli w sercach po całym świecie. I zawsze, gdziekolwiek później ja się z tymi Polakami spotykałem, czy to w Argentynie, jeździłem do Brazylii, gdziekolwiek, gdzie był kapelan, tam był Polak. Było wiadomo, od razu kościoły polskie, parafie polskie i Polacy dawni i nowi gromadzili się koło tego kościoła. Zawsze koło kościoła.

Rafał Pękała: Wróć jeszcze raz do sierpnia 1944 roku. 1 sierpnia wybuchło powstanie. Czy dotarła do was, do Włoch wiadomość o tym i jak to odebraliście?

Wacław Żelazek: Dokładnie była wiadomość właśnie w tych artystycznych akademiach. Przychodziły wiadomości, z Włoch wystali pierwsze samoloty polskie z pomocą do Warszawy, to wyjeżdżały z Brindis, z Włoch. Później, no wiadomości przysięki, uciekinierzy, z Włoch wysyłali spadochroniarzy, żeby połączyć się, więc byliśmy, no i już mieliśmy swoje własne radio. Mieliśmy własne gazety, które szły za Korpusem, z Korpusem. Tak że byliśmy na co dzień poinformowani o wszystkim. Oczywiście boleliśmy nad tym, że nie mogliśmy pomóc, że musimy tu czekać, patrzeć tylko na to. Myśmy poszli chmarą, by tylko pozwolili nam, to byśmy poszli na pomoc, na przelaj oczywiście, ale to było

niemożliwe. Później ostateczni ci alianci, pseudo alianci nasi, to nas rozbroili po prostu. Myśmy musieli zostawić broń, zostawić nasze uzbrojenie, wszystko i byliśmy rozbrojeni. I oni później nie wiedzieli, z nami co zrobić też. Bo dla nich byliśmy kłopotem. Nie, tylko z przyjaciół i ich obrońców staliśmy dla nich kłopotem. Dla mnie to się nazywa wyrzutem sumienia byliśmy dla Anglików i dla Amerykanów. Ale tak się stało, że tak nas zrobili, no i tych 50 lat poza Polskę bez Polski to już mamy stracone. Bośmy chcieli, naprawdę chcieli, bo tę Polskę naprawdę to myśmy w sercach nosili. I rozstawiali po świecie, bo gdzie tylko byli Polacy, naprawdę nie znajdziecie wypadku, żeby ktoś zhańbił Polskę, jak to robią obecnie. Nikt na pewno tego nie zrobił.

Rafał Pękała: Wujku, w 1943 roku w kwietniu, wtedy, kiedy wujek jeszcze był we Włoszech, jeszcze nie był w 3. Korpusie, jeszcze 2. Korpus był w Afryce, jeszcze nie przeszedł na Sycylię, świat obiegła wiadomość o Katyniu.

Wacław Żelazek: Nie.

Rafał Pękała: Czy dotarła do wujka również? Ja dopiero, i myśmy się dowiedzieli o Katyniu, jak przyszedł, jak my się dostali do Korpusu. Jak my się spotkali z tymi, co tam byli w Rosji. Tam myśmy się od nich dowiedzieli. Przedtem nie było śladu, nic nie. Przeciwnie, wiadomości, jakie docierały tam u mnie we Włoszech przed wejściem do Korpusu, to były to, że Niemcy odnaleźli groby tych Polaków, polskie groby i od razu rzuciły gadkę ruski, że to zrobili Niemcy, że oni, żeby się uchronić teraz, to zrzucają winę na nich, ale to jest robota niemiecka. Takie dochodziły pierwsze wiadomości. A o tym, że to zrobili ruski, że tych oficerów, bo tam przyszli koledzy, o, Peszkowski, Peszkowski przecież miał kolegów, którzy zginęli i tam w Katyniu on się uratował cudem, bo akurat wybuchła wojna, no i przyszła ta amnestia i dostał się do Korpusu do Andersa. No i następnie zginął i on. Więc od nich się dowiadaliśmy później prawdy. Taki jak Peszkowski i inni, którzy się ocalili, to opowiadali, mówili, tu, mój kolega jeden, to Anders na tych pogadankach, to była, no proszę, gdzie są ci oficerowie. Po nazwiskach ich wymieniał. Jego koledzy, jego dawni komendanci, jego podwładni oficerowie, gdzie są, pyta się. Szukał ich, dowiadywał się, jeździł po świecie. Samego Stalina, no, wszystko, mów, i na prawo, na lewo, spokój, cisza i nigdy prawdy się nie dowiedział. Teraz dopiero dzięki takim jak Peszkowski i inni po wojnie, przecież wiecie, że Peszkowski to jest... teraz dopiero może, przecież on o tym wiedział dobrze już zaraz po wojnie, jak był jeszcze tam w tym seminarium w północnej Ameryce. On dobrze wiedział, kto zrobił, jak zrobił i on już w Ameryce zaczął robić propagandę i tam jest w Ameryce, tam i on sam Zdzisiu Peszkowski opowiadał, jest taki senator, wielki przyjaciel Polaków, który zaczął protestować w senacie, tym parlamencie amerykańskim i opowiadać głośno o tym, co zrobili Polakom. No i on też jest taki, ten senator, to Peszkowski się wyrażał, też taki, mówi, wyrzut sumienia dla Amerykanów i powoli go uciszeli, no bo dla nich to było bardzo niewygodne. Ta prawda wychodziła na wierzch. To wychodziła przy tym, ogrom tej zdrady, tej krzywdy, jakiej wyrządzili Polsce i Polakom.

Rafał Pękała: Jak, wujku, przyjęliście wiadomość o upadku Powstania Warszawskiego?

Wacław Żelazek: To była bardzo żałobna dla nas wiadomość. Żałowaliśmy, na pewno nie było jakichś tam, żeby mieli pretensje, że ktoś te, że tak powiem, powstanie wywołał niepotrzebnie. Bo myśmy należeli do tego pokolenia Polaków, że myśmy sami byśmy poszli bez pozwolenia, gdyby była okazja chwycić za broń i bić naszych nieprzyjaciół, to byśmy to zrobili i ten wybuch, dla nas wybuch Powstania Warszawskiego to była rzecz tak spontaniczna.

Bo to jeszcze było pokolenie dawne. To nie było takie pokolenie, jak obecnie, w którym nawet potrafili niektórzy krytykować to. To był zryw taki narodowy, który szedł od serca z tej miłości ojczyzny, o coś podobnego jak później Solidarność. Widzicie, ni stąd, ni zowąd, jednak taka Solidarność powstała. I od razu miliony Polaków, zrobili taki zryw, który później był podziwiany na całym świecie. Tak samo było z powstaniem. Przecież to żyli ci Polacy, nasi współbracia, współziomkowie. Myśmy to mieli w sercu. Ja bym tylko miał okazję, chwycił za broń i bił nieprzyjaciela. No, jak mówisz, ja miałem okazję widzieć Polaków z tej dalekiej Argentyny, nie znając języka i nie znając polskiej ojczyzny. A poszli bić się za Polskę do Andersa, bo ich było pełno. I jedźcie dzisiaj do Buenos Aires, do naszego domu polskiego, i zobaczycie tablicę, jak pól tej ściany, pełno nazwisk tych Argentyńczyków Polaków, którzy zginęli za ojczyznę i część, to ja wam gwarantuję, nie znała nawet polskiego języka. Tylko miała miłość ojczyzny w sercu. Bo to im ich rodzice, ci biedni emigrancie, bo to byli prości ludzie, którzy im to wpoili, tę miłość do ojczyzny. I dlatego myśmy powstanie, upadło, bo wiadomo z jakich powodów. Jak myśmy tam przeklinali tych ruskich, jak myśmy dowiadawali się, że samoloty nie mogły lądować po drugiej stronie, gdzie już byli ruski, nie pozwolili, że tam strącili niektóre samoloty, że pomoc, jaką wysyłaliśmy, to dostała się w ręce naszych nieprzyjaciół. No, ale cóż mogliśmy zrobić, jak myśmy byli już prawie rozbrojeni wtedy. Protestowaliśmy tylko, krzyczeliśmy, płakaliśmy, ubolewaliśmy, ale na tym się skończyło. Nic zrobić nie mogliśmy.

Rafał Pękała: Jak wyglądał dzień w podchorążówce? Od pobudki, już wiemy, że potem... od pobudki do ciszy nocnej. Po kolei mniej więcej, jak to się rozkładało.

Wacław Żelazek: Mniej więcej, tak jak mówię, pobudka rychło rano, pięknie wyszorowane łóżka każdy, polowe łóżka mieliśmy, pięknie wyczyszczone i długi korytarz, bo to były szkoły włoskie, które zajmowaliśmy i długie korytarze, wszyscy na korytarz i modlitwa. Pierwsza była modlitwa. Po modlitwie śniadanie. Każdy dostawał swój garnuszek kawy i tam jakiś tam, i po śniadaniu już zajęcia. Każdy do swoich zajęć. Kto na ćwiczenia polowe, ja tam miałem na przykład obsługę to w kuchni, to iść popatrzeć, pilnować i dzień schodził znowu aż do wieczora. Później obiad wspólny oczywiście, po obiedzie znowu albo jakieś pogadanki, jakieś różne te, były lekcje też języków na podchorążówce. Niektórzy przygotowywali się do matur albo mieli te matury w połowie zrobione, to się przygotowywali. Ja, tak jak mówię, dojeżdżałem na studia do Rzymu, a wieczorem znowu modlitwa, kolacja i spanie. Godzina, nie wiem, dziewiąta, w pół dziesiąta, wszyscy w łóżeczku pięknie śpią. Światło się gasiło i spokój, cisza, spanie, odpoczynek i skończył się dzień na podchorążówce.

Rafał Pękała: A o której godzinie była pobudka?

Wacław Żelazek: O, chyba o szóstej rano. O szóstej rano, o w pół do siódmej, tam było pół godziny na umycie, na wyczyszczenie łóżek i później modlitwa, i po modlitwie już opowiadałem, śniadanie i tak dalej. Ale modlitwa zawsze.

Rafał Pękała: We Włoszech jest taki czas, który nazywa się sjestą. Czy również mieliście sjestę ze względu na temperatury?

Wacław Żelazek: Nie, nie. Sjesty tam się nie urządzało, nie było czasu na sjestę. Nie było, a później w tych budyn-

kach, co myśmy byli, tam nie było tej gorączki. Tam się nie odsyłało, to były wielkie budynki, pamiętam te korytarze długie, tam specjalnie się nie odczuwało. I już my młode chłopaki wtedy byliśmy, już trochę się zahartowali. Tak że dawaliśmy sobie radę, ale sjęsty na pewno nie było. Sjęsty się nauczyłem później. Później to byłem już w Argentynie, tam jest obowiązkowa. Tam jest sjęsta odpowiednio od pierwszej godziny do czwartej, to jest ruch zatrzymany, sklepy pozamykane. Tam nie ma prawa nikt głośno radio otworzyć i słuchać. Może teraz protestowaliby w miastach oczywiście. No i tak, że... ale tam na podchorążówce, tam sjęsty, to nie było czasu na to. Był tak dzień rozłożony, że na sjęstę na pewno nie było.